

A stylized illustration of a forest scene. In the center, a man in a green cap and vest stands with a rifle slung over his shoulder. To his left, a brown boar is partially visible behind a tree. In the bottom right, a red squirrel sits on a green leaf. The background features rolling green hills, various trees with green and brown foliage, and a large yellow sun in the upper right. The sky is light blue with some dotted patterns.

Wiatrołomy

Eugeniusz Paukšta

Eugeniusz Paukšta

WIATROŁOMY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67296-12-0

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

1.

Stojąc na ganku nasłuchiwał pomruku oddalającej się maszyny. Na podwórzu znaczyły się ślady opon, śnieg w tych miejscach zmieszał się z ziemią, ciemne płyty odbijały od białej płaszczyzny.

W kuchni na stole tkwiła nie dopita ćwiartka wódki. Kierowca wymówił się od poczęstunku, łyknęli więc na szczęście po jednym z pomocników. Paweł wylał teraz resztę do musztardówki, wychylił. Zapieкло. Łzami zaszkliły się oczy. Na rozłożoną na papierku kiełbasę spojrzał niechętnie, jeść mu się nie chciało.

Przystąpił z miejsca do oględzin domostwa. Dopiero popołudnie, sporo czasu pozostaje do zmroku. Własna gospodarka. Jeszcze przed dwoma laty cieszyłby się takim obrotem swych losów. Teraz nie był pewien, czy nie podjął zbyt pochopnie decyzji. Głusza, właściwie nowizna, w okręgu nikt nie krył przed nim zaniedbań w tym rejonie, dyrektor mówił wyraźnie o wielkich trudnościach. Cóż z tego, że zaraz dodał, iż właśnie dlatego jemu powierzają placówkę, ufają jego energii i zapałowi, oczywiście może liczyć na każdą pomoc, choć na pewno sam sobie poradzi...

W sieni piętrzyły się sterty narzędzi, dziesiątki łopat i szufli, kilofy, wiadra, bosaki, grabie. W kącie stał opryskiwacz. Niech sobie leżą, będzie czas, by uporządkować to wszystko. Ma na to dwa pełne tygodnie, wtedy dopiero oficjalnie zaopiekuje się obszarem podległym leśnictwu.

W przyległym pokoju stały jego własne graty. Niewiele tego było, bardzo niewiele, a jeszcze na dodatek mizerne, że pożał się Boże. Koślawy stół, parę krzeseł, żelazne łóżko z materacem siatkowym. Jasny gwint, na umeblowanie jednego pokoju nie starczy, a ma ich razem cztery, nie licząc salki na strychu. Strach pomyśleć, co będzie robił z tym wszystkim.

Na strychu schody mocno skrzypiały pod jego butami, walało się trochę gratów i starych rupieci. Szmaty, niezdatne do użytku, wydzierały ostrą woń stęchlizny. Zaraz je powyrzucał przez otwarte okno. Żelazna, pogięta umywalka mogłaby się jeszcze przydać, trochę ją tylko wyprostować, pociągnąć olejną farbą. Tym krzesłom dorobi się brakujące nogi i ostatecznie da się naprawić wyliniałą, postrzępioną sofkę. Ale i tyle tego. Jeszcze jakieś słoje, dziurawe garnki, paręset flaszek po wódce, nie żałował ktoś sobie.

W zacisznym kącie przy kominie tuliło się kilka nietoperzy. Wzdrygnął się, od dzieciństwa nie lubił tych stworzeń, babka go jeszcze straszyla, że wplątują się niegrzecznym dzieciom we włosy...

Drzwi na strych również się nie domykały. I od nich odjął ktoś klamkę. Przycisnął więc blat cegłą, jeszcze by postukiwał nocami, przy wybitych szybach wiatr będzie niezgorzej tu hulał. Zza okien zaglądał do wnętrza pochmurny marcowy dzień.

Żał mu się nagle zrobiło gwarnego Szczecinka. Gdy po półrocznej praktyce w nadleśnictwie opodał Złocięncą przeniesiono go do działu urzędniowego w dyrekcji okręgu, był początkowo niezadowolony. Ciągnęło go zawsze do wolnej przestrzeni. Stale wyjeżdżali w teren, tkwili tam tygodniami robiąc pomiary, potem dopiero przenosząc je na papier w zacisznych pokojach dyrekcji. Miasto było jednakże miastem. Zawsze zdarzała się okazja do kina, z Koszalina przyjeżdżał teatr, były kawiarnie, restauracje, dziewcząt także nie brakło.

Przypomniawszy sobie Zośkę. U niej spędził przedwczorajszą noc, nie pierwszą zresztą. Dziewczyna była smutna, choć nigdy wprowadzić nic jedno drugiemu nie obiecywało, nie było żadnych przyrzeczeń ni przysiąg.

Podobali się sobie wzajemnie, dobrze się czuli razem, kto wie, może przyszłość złączyłaby ich na stałe. A teraz? Zośka w pierwszej chwili miała łzy w oczach. Gdy to zobaczył, poczuł się nieswojo. Naprawdę bardzo była przywiązana do niego. A on? Chyba nie mniej, choć lichy wie, czy była to miłość, ta wielka, o której się czyta w powieściach. Rwał

się do dziewczyny, gdy był blisko, ale i nie zamartwiał się, gdy wyjeżdżając w teren, zostawiał ją samą na całe tygodnie.

Teraz jednak wiele by dał za to, by mogła znajdować się obok niego. Rażniej byłoby zaczynać we dwójkę.

Inaczej sobie wyobrażał pierwszą samodzielną placówkę. Może źle się stało, że nie przyjechał uprzednio na oględziny. Przed pół rokiem, była to pierwsza jego praca w wydziale urzędzeniowym, tu określali właśnie ogólną topografię terenu. Podobało mu się, liczne jeziora, strumień z pstrągami, dopływ Wieprzy, partie starodrzewia, rzadka oaza mszarów porosłych mizerną sośniną, obok na wydmiastych usypiskach w gąszczu iglaków jedyna w okolicy ostoja głuszca. Obecną swoją siedzibę pamiętał jak przez mgłę: stary, rozwalony i rozszabrowany budynek z gospodarczymi zabudowaniami. Tym się najmniej zresztą przejmował. Skoro mu oświadczone, że się przeprowadza gruntowny remont, to wszystko w porządku.

Gdy jednak w trakcie jazdy przez las spoglądał z szoferki żuka na przyszły swój rejon, mniej mu się znacznie podobał. Może sprawiał to śnieg zmieniający krajobraz czy niepokój o to, jak sobie poradzi, dosyć, że z każdym obrotem kół mina rzedła mu coraz bardziej.

Chłód. Dopiero przy tym słowie uświadomił sobie, że jest mu zimno, że cały drży. Ziąb tkwił w ścianach nie opalanej budowli, niełatwo go będzie usunąć.

Postanowił, że porządkami zajmie się później, czasu przecież nie braknie. Lepiej przejdzie się po rewirze. Gdy jednak zarzuciwszy swój dryling na ramię, jedyną obok roweru wartościową rzecz, jaką posiadał, wszedł na podwórze i zajrzał do szopy na drzewo, rozżłościł się jeszcze bardziej. Spory zapas sosnowych polanek tkwił wprawdzie pod dachem z desek pokrytych papą, ale drewno było wilgotne. Zaklął w duchu, myśląc o leśniczych, swoich sąsiadach.

Ostrożnie stawiał nogi w koleinach wybitych przez opony samochodowe, potem poczłapał wąską ścieżyną. Ubita była solidnie, gęsto zatem musieli ludziska chodzić przez to pustkowię. Pewnie ci amatorzy na klamki i drzwiczki od pieca. Psiakrew, niechby złapał łobuzów, ciepło by im się od razu zrobiło.

Zwarta ściana świerkowa rozwierała się na rozległy obszar przysypanych śniegiem łąk, środkiem których ciągnął się ciemny pas. Stamtąd nadbiegał przez leśną ciszę narastający szum. To strumień staczał się ze stromego spadu, odbijając się o kamienie zgromadzone przy miejscu załamania się prądu.

Paweł przystanął na prowizorycznym, przegniłym miejscami mostku, spoglądał na ciemną, choć przezroczystą wodę. Parę mocniejszych cieni śmignęło spod pokrycia brzegowych nawisów. Pstrągi. Mówiło się w dyrekcji o potrzebie opieki nad ich siedliskiem, kłusownicy harcowali tu bowiem bezkarnie, zwłaszcza w grudniowym okresie tarła.

Próbował iść brzegiem, śnieg był głęboki, u spodu napity już wodą, lepki i gęsty. Wycofał się, by od strumienia piąć się ostrą stromizną ku świerkowemu starodrzewiu, przetkanemu tu i ówdzie rozrosłymi koroniami dębami. W kierunku strumienia ze wszystkich stron dążyły tropy zwierzyny. Rozróżniał odciski dzichych rapci, delikatne wgłębienia sarnie, mocne wciski badyli jakiegoś potężnego rogacza. Chwilami tropy łączyły się w regularne przesmyki, ginące pod nawisami świerkowych gałęzi, najlepszy znak obfitości płowych mieszkańców lasu. U skraju niewielkiej polany odciskały się lisie stawki. Rudzielec musiał chętnie polować na tym odcinku, wszędzie bowiem śnieg znaczyły ślady jego podchodów.

Paweł chciwie rozglądał się dokoła, zły nastrój mijał, jakby ręką odjął. Podobała mu się partia leśna najbliższej domostwa, szumiący strumień i bujność świerkowego boru. Szedł ciągle przed siebie, ścieżyna stawała się coraz bardziej płaska, bokami przecinki zaczęły wyrastać po wojnie już sadzone modrzewie, bezlistną gęstwą gałęzi odbijając od świerkowej zieleni. Dukty krzyżowały się teraz, Paweł zboczył na prawo.

Na bieli coś zamajaczyło, czarne i rude, zerwało się do skoku. Olbrzymi, zdziczały kot śmignął przez śnieg, nim Paweł zdążył zerwać dryling z ramienia, już obwiesia nie było. Człowiek pięścią pogroził tylko w ślad za kłusownikiem.

Spojrzał na drągowinę, wyrastającą od prawa, pomyślał, że pora już by na trzebież, będzie z wiosną roboty, oj będzie. Nie bał się jej, nawet się cieszył, wreszcie naprawdę stanie się samodzielny. Może dobrze, że przejął zapuszczoną placówkę, coś ze straszenia kolegów, że wyprze tam z siebie ostatni dech. Że ci koledzy to starzy wyjadacze leśni? Może właśnie dlatego straszną się im wydawała taka robota. On za to jest młody. Dwadzieścia trzy lata, szczeniacki wiek, można jeszcze światy zawojowywać. Cóż dopiero poradzić sobie z rejonem, choćby i zaniedbanym.

Okrężną drogą dotarł do sporego, parohektarowego spłachcia ornej ziemi. Ogradzające go żerdzie ledwie trzymały się kupy, przegniłe, poprzecyłane, już nie osłona przed zwierzyną, ale najwyżej pamiątka po niej. Na środku pola, od łagodniutkiego skłonu, czerniała przekrzywiona budka myśliwska. Paweł uśmiechnął się. Wyremontuje ją z wiosną, trafi się może okazja przydybania jakiegoś odyńca. Dzików musiało tu być niemało, nawet na uprawie śnieg był miejscami spyskany, czarne pląty ziemi przezierały spod niego mocnymi plamami.

Schylił się, odgrzebał trochę śniegu na stronę. Pod nim zieleniła się ruń ozimej pszenicy. Prawda, mówiono, że któryś z sąsiadów uprawia ziemię, przynależną leśnictwu. Ciężki będzie jeszcze ten rok, trochę jarki się posieje najwyżej. A może wydzierżawić chwilowo i tę resztówkę? Czymże będzie uprawiał, ani narzędzi, ni ziarna, kłopot z wypożyczeniem konia...

Przyśpieszył kroku. Głód zaczął mu dokuczać, trzeba zawracać. Przywiózł z sobą przecież co nieco jedzenia. Na początek wystarczy, potem się poradzi ze wszystkim, gorzej bywało, a śmiał się i gwizdał.

Spochemurniało. Nad łąką ciągnęły białe mgły. Pułap nieba wyraźnie się zniżył, chmurzyska zlały się w jedną ołowianą płaszczyznę. Jakby pocieplało zarazem. Ale to chyba jeszcze nie odwilż, może tylko śnieg rozściele się przez noc ponową, jaśniej będzie wkoło i czyściej.

Na ganku majaczyła czarna plama, ktoś tkwił tam w bezruchu. Pawłowi przypomniał się nadleśniczy. Gdy się spotkali w Szczecinku, obiecał, że będzie oczekiwał nowego pracownika w przyznanej mu leśniczówce.

Postać na ganku podniosła się. Zielony mundur, ktoś więc ze swoich. Starszy już człowiek o pociągłej twarzy i wpadniętych oczach siedł na spotkanie Pawła. Ponuro wyglądał, chudy, rozrosły w barach.

– Dzień dobry, panie leśniczy – pierwszy wyciągnął rękę, szeroka była, twarda. – Maciulak jestem, gajowy. Mamy razem pracować, mówił pan nadleśniczy. Wyjechał do Warszawy, inaczej byłby tutaj na pewno.

Głos miał przyjemny, niski.

– Kondracki Paweł. Bardzo się cieszę.

– Od trzech dni czekam, pod wieczór zawsze przychodzę... Dziś od razu powiedzieli mi nasi ze zrębu, że przyjechał pan ciężarówką.

– Gdzież mnie widzieli?

– Po lesie prędko idą nowiny, chyba pan leśniczy tego zwyczajny – uśmiechnął się Maciulak, ten uśmiech od razu zmaszał mu z twarzy ponurość, nawet oczy okolone drobniutkimi zmarszczkami jakby się uśmiechnęły. – No i widzę, są rzeczy... A czy... – zawahał się – czy pan leśniczy tak sam, zupełnie? Czy może potem ktoś przyjedzie z rodziny?

– Sam. Kawalerska gospodarka... Proszę, zaraz się zakrzątniemy, pomoże mi pan, trzeba coś przegryźć.

– Tak też myślałem, podpałem w kuchni. Drzwiczki jakieś antychrysty nam wzięli, zatkałem blachą, ale dymi... Żarówka to miałem schowane, trzy sztuki, zaraz je wkręcę.

– Zna pan tu swoich, jak widzę – zaśmiał się Paweł.

Pierwsze nieprzyjemne wrażenie minęło. Podobał mu się Maciulak, choć co prawda, gdzieś po ciemku spotkanie z nim nie musiałyby należeć do najprzyjemniejszych. Z wyglądu przypominał po prostu zbója. Przez myśl przemknęło mu, że nim pozna go bliżej, nie powinien nazbyt się spoufalać ze starym. Licho wie, co w nim siedzi. Nadleśniczy powinien dopomóc mu w rozeznaniu ludzi. Gdy jednak zerknął na Maciulaka, na jego życzliwie uśmiechniętą czarniawą gębę, nie potrafił pozostać surowym. Uśmiechnął się, poklepał go po ramieniu.

– Myślę, że będzie się nam dobrze pracować.

– O, roboty to jest... Od dwóch lat gadano, że wydzielili się tutaj nowy rejon, to i żaden z leśniczych nie chciał się bardzo przykładać nie na swoim... – Przyjrzał się Pawłowi dokładniej. – Ale za przeproszeniem, to pan leśniczy zupełnie młodzieńki. Pewnie od razu po szkole?

– Mam już trochę praktyki, powąchałem lasu co nieco.

– Pewnie, pewnie – łagodził gajowy swe odezwanie. – Choć po prawdzie to całe życie się wacha i jeszcze wszystkiego się nie wie... Kartofle gotowe.

Z naczyniami nie było łatwo, coś się jednak w końcu znalazło. Zaskwierczał tłuszcz na patelni, Maciulak wbił węń olbrzymią ilość jajek. Paweł aż nosem kręcił, grzebiąc w swoim plecaku. Zastanawiał się zarazem, co kieruje postępowaniem tego człowieka. Zwykła ludzka życzliwość, czy także wyrachowanie, żeby od razu nawiązać z nowym zwierzchnikiem dobre stosunki. No cóż, w kaszy nie da się zjeść, co zaś mu szkodzi odplącić tamtemu równą życzliwością.

W tym przekonaniu postawił na stole drugą z zabranych z sobą ćwiartek.

– Wypijmy za nową znajomość, panie Maciulak.

– Można, pewnie – zgodził się czarniuch. – Rozglądał się pan już trochę w rejonie? Dobry las, dalej, za wycinką, jest najładniejszy starodrzew w całej okolicy. Mówił leśniczy, że to resztki pasma Puszczy Nadnoteckiej, tyle że tutaj zostały tylko takie niewielkie partie... Młodnika i drągowiny też mamy sporo, ale przy nich będzie wiele roboty, bo zaniedbane. Ludzi brakło, każdy leśniczy rwał do siebie. Będzie się pan musiał niemało nawojować o robotnika. Ciągłem nam ich brakuje.

– Potem o interesach. Musi mi pan dużo pokazać i powiedzieć. Teraz do jajecznicy, bo wystygnie.

Paweł uśmiechnął się. Zły nastrój minął, cieszy go żarówka jasno świecąca pod sufitem, ciepło rozchodzące się od nagrzejonej płyty, nawet ten czarny chudzielec o długiej twarzy i zapadniętych głęboko oczach.

– Żeby nam dobrze się wiodło – podniósł musztardówkę, brzęknęło szkło przy zderzeniu. – Proszę, niech pan je, panie Maciulak, właściwie to ja u pana gościem, a nie odwrotnie.

– Żeby się wiodło, panie leśniczy. Tu ładna okolica, choć nie wszystko w niej jeszcze takie jak trzeba. Ale nic, poradzi się, poradzi... – łagodził swoje słowa.

– Pan tu mieszka z rodziną?

– Żona i córka z zięciem. Trzy kilometry stąd. Trochę daleko, ale przy okazji zawsze obejrzy się kawał lasu...

Paweł nie był pewien, może mu się tylko wydało, że mówiąc o rodzinie gajowy sponiewniał. Ale już stary znów się uśmiechnął, pogodnie wskazując dłonią za okno, gdzie powoli zaczynało skłaniać się ku zmierzchowi. – Wygląda, że śnieg spadnie. Na ponowie dobry będzie pierwszy nasz obchód. Przyjdę z samego rana... Tak mi się widzi, że tu nad niejednym trzeba będzie pokręcić głową. Przepraszam, to cały dobytek pana leśniczego? –

przeciagnał dłonią wokoło, jakby ogarniając tym i leżące w przyległym pokoju mizerne graty Pawła.

– Cały – prychnął mu na to śmiechem. – Próbowałem dziś martwić się już na zapas, czym umebluję tę wielką chałupę... Ale nic nie szkodzi, za to, gdy nadejdzie ochota, można się będzie roztańczyć.

Gajowy nastawił uszu, wyraźnie mu drgnęły, jak u konia na jakiś nieznany dźwięk.

– Czy może weselisko?

– Nie, nie, sam sobie najpierw tu będę wytańcowywał. – Czy to pod wpływem wypitego alkoholu, czy z jakiegoś innego powodu, dosyć, że Paweł uczył nagle przypływ wielkiej radości i ochoty do życia.

Zerwał się z miejsca przy ostatnich swych słowach, przysiadł i ruszył nagle przez kuchnię w prysiadach. Pewien był, że Maciulak od razu straci respekt dla nowego zwierzchnika, gdy ze zdumieniem usłyszał, że gajowy mu przyklaskuje do taktu. Nie wypadało przerwać, choć się zasapał, jeszcze raz zatem okrążył kuchnię w prysiadach, a gdy wreszcie zwał się zmęczony na ławę, siedzące obok czarne chłopisko aż łzy miało w oczach z radości.

– Panie leśniczy, źle nie będzie. Jeszcze będzie pan ładnie mieszkał. Już ja nad tym pomyślę – powiedział z zapałem, drgały mu zmarszczki okalające oczy.

Gdy później, po dłuższej gawędzie, serdecznie pożegnał gajowego i odprowadził, panował już zmrok. Chmury zdawały się opuszczać na samą ziemię, jakby ją otulały. Od zachodu zerwał się wietrzyk. Z cichym skrzypem oddalały się kroki Maciulaka o twarzy starego zbója.

Długo jeszcze siedział przy stole w kuchni, po zaryglowaniu drzwi prowizorycznym skoblem, zrobionym przez Maciulaka w miejsce skradzionej klamki. Dobrze mu było, poczuł się od dawna, od bardzo dawna pierwszy raz naprawdę u siebie. Kiedy to doznawał podobnych uczuć? Szczeniakiem był wtedy jeszcze, pętała się cieniami wspomnień krępa sylwetka ojca, potem już tylko przygarbiona postać matki nadawała domowi uroku rodzinnego ciepła, aż wreszcie wszystko stało się inne, zawsze było samotnie, zawsze u obcych. I dopiero dziś, teraz. Jak by się matka cieszyła, gdyby mogła być razem, jak by się zapobiegliwie, z tym swoim wiecznym zafrasowaniem, krzątała po kuchni, wydziwiając na ubóstwo ich gospodarki. Nie doczekała się, wkrótce dwa lata, jak zmarła...

Westchnął, wspomnienie rodziców połączyło się z inną myślą. Sięgnął do zniszczonej aktówki, wyciągnął papier, zaczął pisać do brata. Nada jutro przez Maciulaka. Z satysfakcją podał swój adres. Własny adres. To już coś innego, niż ten odnajmowany w Szczecinku pokój czy jeszcze wcześniej kłitka w dyrekcyjnym baraku albo wspólna sala w internacie przy technikum. To już naprawdę własny adres.

Leżąc w łóżku zastanawiał się jeszcze nad tym wszystkim. Za oknem stała cisza, czasem przerywał ją tylko pisk duszonego zająca, kilka razy ponurym hukaniem odezwał się puszczyk, potem przeraźliwym miaukotaniem rozdarły się marcujące koty, znów zacichło na długo. Paweł spojrzał ku oknu i zobaczył osiadające na szybie płaty świeżego śniegu. Będzie ponowa. Dobrze mówił Maciulak, trzeba od razu wybrać się w obchód rewiru, drugiej takiej okazji zorientowania się w ilości zwierzyny może już nie być. Wiosna przecież za pasem...

Mignęła mu przy tej wiośnie twarz Zośki, jakaś niewyraźna i bardzo już, bardzo daleka. Znużony męczącym, sytym wrażeń dniem zapadł w twardy sen.

Gdy w pewnej chwili raptownym podrzutem poderwał się znad poduszki, w pierwszym momencie nie mógł sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Dopiero ten ponowny stuk, jakby uderzenie siekierą. Wyskoczył z łóżka, dłonią sięgnął po dryling, drugą gorączkowo szukał latarki. Położył je przy sobie na pościeli, schylił się po buty. Zwilgotniałe, z trudem dawały się wciągnąć na nogi. Na pół ubrany nasłuchiwał czujnie, skupiony jakby do skoku. Ktoś

rozmawia, trudno tylko rozróżnić, w domu czy poza jego murami... Kto, u licha, może tu być? Znów głuchy stuk, jeszcze raz, jeszcze...

Przypomniawszy sobie skradzione wraz z futryną okno, brak klamek i drzwiczek u pieca w kuchni. Czyżby nowa jakaś wyprawa? Zagotowało się w nim złością. Stał na nogi, z drylingiem w jednej, z latarką w drugiej ręce. Przy pierwszym kroku podłoga mocno zaskrzypiała. Szarpnął drzwiami, puścił snop reflektora w lewo i prawo. Nikogo, tylko z podwórka ordynarne zakłęcie, tupot nóg, potem jakby cmoknięcie na konia.

Nie zważając na nic, wypadł na ganek wciąż naciskając guzik latarki.

– Stać, bo strzelam! – wrzasnął.

Zza gospodarczych budynków dobiegły go wyzwiska i coś łomotnęło o ścianę domu, tuż niemal za głową Pawła, snop światła złowił połówkę cegły zległą teraz na ganku. Paweł zgasił latarkę, skoczył w bok na świeżo spadły śnieg, strzelił w powietrze raz i drugi.

– Stać, stać!

Rechot i klątwy, wyraźny odgłos końskich kopyt. Ruszył w tę stronę, guzik latarki zaciął się, śnieg sypał i choć odbijał nieco światła, trudno było widzieć coś w tej kurzawie.

– Popamiętasz nas jeszcze, wszawie nasienie! Do ludzi chcesz strzelać?!

Okrzyk ten doszedł go jakby przez mgłę. Guzik latarki przesunął się wreszcie, Paweł podbiegł kilka kroków, zaraz jednak przystanął. Odgłos końskich kopyt oddalał się, nie dogoni, w nieznanym lesie wpłące się jeszcze w jakąś kabałę. Cegła wyraźnie mówi, że nocni goście nie będą się ceregielić zbyt długo...

Zły zawrócił z powrotem. Obszedł dom dokoła. Na lewo od ganku stało wsparte o budynek okno wyjęte wraz z futryną. Pomyślał, że kiepsko były te futryny wstawiane, jeśli tak łatwo można je wyrwać. Drugie okno straszło wybitą szybą, otwarte było, wiatr kołysał połówkami w lewo i w prawo.

Paweł zatrzymał się w swoim obchodzie. Tknęło go, jakim sposobem nie usłyszał tego od razu? Brzęk szyb, wrywanie futryn, tego się nie robi w pięć minut. Czyżby spał tak mocno? Jednocześnie ten dziwny szum w głowie, słabe, nogi uginają się najwyraźniej w kolanach, w ustach mdły, lekko słodkawy smak. Wódka? Niewiele wypili, chyba nie od niej...

Gdy stanął na progu pokoju, pociągnął nosem. Poczuł wyraźny, ledwie wyczuwalny swąd. Zrozumiał wreszcie i struchlał, gwałtownie rzucając się do otwierania okien, czad. Piec świeżo remontowany, nie wyregulowany, może gdzieś resztki wapna czy gliny zatykają komin, może drzwiczki były nieszczelne...

Przemknęło mu przez myśl, że złodzieje niechcący ocalili go od zaczadzenia. Mocował się potem z przeciągnięciem łóżka do innego, nie opalonego pokoju. Zimno, ale bezpiecznie, dumał, z wisielczym humorem ładując na siebie wszystko, co tylko nadawało się do przykrycia.

Ładny początek – pomyślał.

2.

– Psa trzeba tu mieć koniecznie – powiedział któregoś razu Maciulak.

Przypomniały mu się teraz te słowa. Pewnie pies przydałby się. Ale czy i psi wąż ustrzegłby go przed pułapką? Topniejący śnieg dawno już zmył resztki zapachu kłusowniczej ręki. Wytrawny praktyk zastawia zresztą żelaza w rękawiczkach.

Śnieg już topniał. Z natury podmokła partia lasu, porośła dorodną buczyną, podszyta gęstwą leszczynowych krzewów, skrzyła się teraz co krok wyrastającymi w byle zagłębieniu oczkami ciemnej wody. Na znaczonej wielu śladami zwierząt przesmyku, sprytnie zamaskowane, czerniały pokryte rdzą żelaza, niebezpieczna pułapka.

Stojąc nad nią Paweł w podenerwowaniu trząsł głową. Tylko jeden mały krok, a miałby już w tej chwili zmiażdżoną nogę. Szczęśliwy traf, że nieco wcześniej podniósł jakiś kij i szedł, postukując nim od niechcenia przed sobą. Drgnął, gdy rozległ się suchy trzask, kij zaś wyskoczył mu z dłoni, jakby go ktoś wyszarpnął z całej siły. Sterczał teraz prostopadle do ziemi, ściskany masywnymi cęgami.

Długo mocował się z osadzonymi w ziemi żelaznymi kleszczami. Zastawiać je musiał kłusownik z nie lada rutyną. Nawet rogacz nie wyszarpnąłby tej pułapki, choć i to niewiele by mu pomogło, nie powłókłby się daleko ze zgruchotanym badylem.

Śmiercionośne żelazo zawiesił na gałęzi, łamiąc opodał złom, by nie ślepić później zbyt długo za miejscem schowania. Chciał jeszcze dzisiaj przeszukać dokładniej całą partię buczyny.

Już w dyrekcji wspomniano mu, że trafi na kłusowniczą okolicę. Nie spodziewał się jednak, że w praktyce będzie to wyglądało w ten sposób. Zaraz na drugi dzień po przybyciu znalazł we wnykach żywą jeszcze, męczącą się zajęczkę. Kotna była. Potem się natknął na dalsze wnyki, zaniósł ich do domu sześć sztuk. Teraz żelaza, poważniejsza historia.

Gdy po paru godzinach ostrożnego błakania po ścieżkach i przesmykach bukowej ostoji wynurzył się z niej leśny dukt biegnący opodał gęstego młodnika, dźwigał na ramieniu dwie pary żelaznych cęgów. Sądząc po śladach świeżo zrytej w pobliżu nich ziemi, wnioskował, że niedawno musiały być zakładane. Ciężkie były, uwierały, przekładał je z ramienia na ramię. Z ulgą przysiadł wreszcie na kopcu oznaczającym granicę oddziału. Nogi miał wilgotne, buty nie wytrzymały przedzierania się przez roztopy, nasiąkły wodą.

Sumując wrażenia pierwszej dekady swojego leśnictwa, żuł powoli chleb przełożony soloną słoniną, jedyną okrasą, jaka znalazła się w sklepie GS-u. Chleba starczy mu z biedą jedynie na wieczorny posiłek, wprawdzie gajowy obiecał wystarać się o bochenek na jutro, ale zjawi się gdzieś dopiero koło południa, dość ma roboty przy uprawie pod szkółkę. W ogóle, czy zdążą na czas, jeszcze przecież grodzenie, potem sam siew. Teren zapuszczony, zarosły chwastem i sosnowym nalotem. Z jedzeniem trzeba zatem urządzić się jakoś inaczej. Nie będzie ganiał co dnia przez roztopy do sklepiku w najbliższej wioszczynie. Dobrych pięć kilometrów. Ciekawe, jak sobie radzą w tych leśnych osadach, kupują chyba na zapas, bo sami przecież nie wypiekają. Gospodarka nie będzie tu łatwa. Kupując wszystko, w mig pozbędzie się swojej pensji, dokładać zaś nie ma z czego. Przez pół roku przy tym będą mu odciągać raty za broń. Dobrze, że zdecydował się na zakup drylinga, o przydziale fuzji dla leśniczych ciągle tylko się jeszcze mówiło. Dwa zdziczałe koty, trzy gołębiarze, które zastrzelił, najlepiej świadczyły, jak był ten dryling potrzebny. Dziś też widział wielkiego jastrzębia, który jakby świadom, że nadchodzący człowiek jest bez broni, nie uciekał, bezczelnie przyglądał mu się ze szczytu świerka. Trudno zawsze dźwigać na ramieniu trójlufkę.

Słońce tkwiło na niebie przymglone, wszędzie pełno było tej mgły, nieuchwytnych wzrokiem oparów, tylko nad łąkami unoszących się mocniejszymi warstwami. Parowała woda w rozlanym strumieniu, delikatne smużki snuły się nad zalewiskami łąk, gałęzie osłaniających je od północy; opasłych, nie pielęgnowanych wierzb nabierały czerwonych odcieni, dochodził stamtąd pokrzyk gawronów. Wokoło mdły zapach wilgoci, butwiejących roślin i zarazem ostrzejsza, świeża woń budzącego się w gałęziach drzew życia. Radio zapowiadało ocieplenie, dosyć nagłe po okresie długiego zastoju na przedprożu zimy i wiosny. Jakby nawet zabrakło przedwiośnia, chyba że się je dojrzy w tych pomieszanych zapachach powietrza. Od północnych stron zboczy, w jarach i kotlinkach, w leśnych zapadlinach śnieg tkwił ciągle grubymi warstwami, brudny i zlodowaciały, z chrzęstem rozsypujący się pod nogami, czasem zdradziecko zakrywający głębokie wądoły.

Zza ściany młodnika wystawiła łeb sarna, wiatr biegł ku leśniczemu z jej strony, wypatrywała. Nieruchoma sylwetka Pawła musiała ją z nagłą zaniepokoić, zachybotały tylko puchate szpilkami gałęzie, sygnęły z nich krople osiadłej mgły, znów cicho było na dukcie.

Z mocniejszym podmuchem nadbiegły ludzkie głosy. To z wielkiej, zapuszczonej poręby, przeznaczonej teraz na szkółkę. W tym bezpiecznym właściwie do niedawna rejonie nie było dotychczas ani jednej, plany tymczasem przewidywały sporo zalesień. Cudzymi sadzonkami własnych się nie zastąpi, ani ten wybór, ani ta świeżość. Na podsuszanej przez słońce porębie od paru dni gwałtownie oczyszczało się teren, rozklekotany star podrzucił już wapno i trochę nawozów, pod cieniem świerków czerniała spora przyzma kompostu. Jest z czym zaczynać. Dobrze, że obronił kompostowe zapasy przed zachłannością najbliższego sąsiada, Wyrę. Dowodził, że on się o nie zatroszczył przed paru lat; jemu więc przynależą. Dziwny jakiś człowiek, maleńki, czarniawy, z rozbieganymi oczkami, przybierający osobliwy ton wyższości wobec młodszego kolegi. Ścieli się nie tylko o kompost. Wyra ostro oświadczył, że żadnego z robotników leśnych, pracujących u niego, nie myśli odstąpić. Ma dla nich wszystkich dość pracy.

Dukt krzyżował się z szeroką drogą, obsadzoną po obu stronach ścianą białych pni brzoźek. Z chrzęstem i terkotem przewalał się po nim wóz, w wilgotnej ziemi kłaskały końskie kopyta. Paweł czekał, aż fura wynurzy się spoza gęstwy młodnika. Ukazał się; łeb konia, drabiny wozu, dopiero za nimi, trzymając lejce w dłoniach, szedł utrudzonym krokiem młody mężczyzna. Dostrzegł leśniczego, ściągnął wodze dobrze utrzymanego konia, który przystanął z wyraźną ulgą. Woźnica szedł naprzeciwko Pawła, z daleka kiwając głową i rozszerzając gębę w życzliwym uśmiechu.

– Ot i spotkanie, a ja wybierałem się dziś do pana. Gajowy pewnie mówił? Szymański jestem, z Zimnej Wody.

Widząc pytające spojrzenie witającego się z nim leśniczego, zaśmiał się szeroko.

– Pan pewnie nie wie, jak się Maciulak troszczy o pana. Strasznie jest rad, że wreszcie utworzono tutaj leśnictwo. Bo z Wyrą nigdy się nie mógł pogodzić, wciąż koty z sobą darli. Ludzie gadają, że łatwo tu panu nie pójdzie...

Paweł także musiał się w końcu roześmiać. Na pół jedynie rozumiał, co mówi ten rozrostły, barczysty blondyn o twarzy przymilnego dzieciaka. Tylko słowa o leśniczym Wyrze przyjął z większą uwagą, była w tym ni to zapowiedź, ni to cicha przestroga.

– Powoli, powoli, zapominacie wszyscy, że jestem tu nowy... Zaraz, pan jedzie obok leśnictwa? Można by to zabrać na wóz? – wskazał na ciężkie żelaza.

Szymański rozumiejąco pokiwał głową.

– Dużo pan tego znajdzie w oddziałach. Najlepsza ostoja zwierzyny w całej okolicy, a najbardziej przy wiatrołomach. Niejednemu skończy się łatwe życie... Maciulak chciał, żeby mleko panu od nas przynosić, nim się pan własnej krowy dochowa. Można będzie od jutra. Żona obiecała, że posadzi dla pana kwokę, nim się co nieco uładzi, już i własne kurczaki podrosną.

– Dziękuję, że się tak o mnie troszczycie. W lasach pracujecie, panie Szymański?

– Jak wszyscy tutaj. Mam teraz tydzień wolny, bo żona po połogu, cztery dni jak rodziła. W szpitalu jeszcze w Bytowie, samemu trzeba wszystkiego dopatrzeć, matka już stara, nie poradzi... Trzecie dziecko – zaśmiał się.

– Jakże pan sobie radzi?

– Zdrowia trochę się ma – robotnik zacisnął na moment dłoń. – Nie można narzekać.

– Cmoknąwszy na konia, który niechętnie ruszył z miejsca, Szymański zagadnął nagle z innej zupełnie beczki. – Łąki pewnie w tym roku pan wydzierżawi? Gdyby co, miałbym na nie ochotę.

– Jeszcze nic nie wiem. Od jutra obejmuję urzędowanie. Tyle że las już trochę poznałem.

– Jakby co, przeszedłbym do pana od Wyry. Jaki chętny tutaj kto do roboty, powie panu Maciulak. Przejrzał każdego, wie więcej niż sam nadleśniczy.

Droga na tym odcinku była cięższa, rozmokła, koń ledwie wyciągał, trzeba było mu pomóc, wparli się w drabiny, urwała się rozmowa. Paweł był z tego zadowolony, nie chciał jeszcze się wypowiadać, za mało wiedział, a już zupełnie nie potrafił się połapać w stosunkach między ludźmi. Na razie wołał stać na uboczu.

Koła zaturkotały weselej na górze, grunt był mocno ubity, nawet wczesnowiosenne roztopy nie rozbabrały ziemi.

– Panie leśniczy, gadają, iż specjalnie tu pana przysłali, żeby... – zaczął Szymański i urwał.

Nie słuchał go, zszedł nieco w bok drogi, gdzie linia niewysokich modrzewi pasem ciągnęła się wzdłuż mieszanego lasu. Jedno z drzewek leżało przygięte niemal do ziemi, musiały go najechać koła ciągnika, wyraźnie wybijał z wilgotnego gruntu ślad opon.

Starannie, z pieczołowitością wyprostował przygięty ku ziemi modrzew, rozejrzał się wkoło, pośród posuszu znalazł świerkową tyczkę, oporządził ją nożem, wbił obok drzewka. Gdy bezradnie zaczął przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć do przewiązania, poskoczył Szymański z kawałkiem konopnego powrozu. Paweł kiwnął mu głową z podziękowaniem i w krótkim błysku, kiedy to spotkały się ich spojrzenia, w oczach robotnika obok napiętej uwagi dostrzegł jakąś ciepłą życzliwość.

W tejże chwili ustąpili obaj z bocznej ścieżyny. Wolno nadjeżdżał w ich stronę sfatygowany motocykl, startymi protektorami opon ślizgając się na gruncie podbitym gliną. Przy mijaniu wozu WFM-ka przyhamowała, stanęła. Spojrzenia jadących szybko omiotły wóz i jego zawartość, prześliznęły się po sylwetkach przy młodym modrzewiu.

– Dzień dobry. Pan leśniczy już zaczął urzędowanie? Mówili, że dopiero od jutra? – Starszy z motocyklistów, w okularach, zszedł z maszyny, z wyciągniętą dłonią pchał się do Kondrackiego, Szymańskiemu od niechcenia tylko kiwając głową. Witając się z Pawiem nie przedstawił się zresztą, widocznie nie uważał tego za konieczne.

– Myślicie o tym? – Paweł wskazał na żelaza złożone pomiędzy drabinami wozu. – Takie draństwo trzeba likwidować zawsze, służba nie służba. Nie tak?

Facet w okularach łypnął spoza nich uważnie, wzruszył ramionami.

– Nie moja rzecz, ja tam nie leśniczy, a także i nie myśliwy... Na nas pora. Można będzie zajrzeć kiedy do pana leśniczego?

Znów wyciągnął rękę, na Szymańskiego w ogóle teraz nie spojrzał. Siedząc już na motorze, rzucił jeszcze zdawkowo: – A ludziom, panie leśniczy, warto się tu dobrze przypatrzeć. Nie wszystko złoto, co się świeci.

Zadymiło, WFM-ka poślizgiem ruszyła z miejsca. Paweł zaskoczony tym wszystkim wzruszył ramionami.

– Kto to? – zapytał dopiero po chwili, odchodząc od uratowanego modrzewia.

– Od nas. Z Zimnej Woli. Nazywają go Okularnikiem albo Farmazonem, że to się zawsze tak mądrzy. Z bratem był. Ich jest czterech, tyle że czwarty osobno się trzyma.

– Robotnicy?

– Jak już bieda przycisnie, przychodzą na sezon albo na akord. Oni z lasu i wody żyją... – zamilkł i jakby w obawie, że za wiele powiedział, zaraz zaczął się wycofywać. – Jagody skupują, grzyby, mają punkt skupu. Ryby nikt od nich lepiej łapać nie umie w okolicy. Ot, jakoś żyją z bożą pomocą.

– A nie kłusują czasem? Dziwnie patrzyli na te żelaza, jakby ze złością.

– A kto ich wie. Ja nie widziałem. Hej, wiśta, wiśta – teraz Szymański stracił ochotę do rozmów.

Na podwórzu leśniczówki pomógł jeszcze zładować żelaza, przypomniał, że od jutra chłopak jego będzie przynosił mleko, mniej już roześmiany i pogodny niż przedtem zawrócił

w kierunku leśnej osady. Paweł spoglądał za nim z zaciekawieniem. Podobał mu się chłop, szczerze mu z gęby patrzyło, choć to jeszcze o niczym nie świadczy. Maciulak ma wygląd zbója, tylko łap cokolwiek na swoją obronę, a nikt o nim złego słowa nie powie. Nadleśniczy radził, żeby na gajowym się oprzeć. Na pewno wiedział, co mówi.

Gdy zasiadł po chwili na niskim stołku w kuchni i pośpiesznie obierał ziemniaki, dobrze mu w kiszkach już grało, myślał o wszystkich spotkaniach z minionych dni. Sporo ludzi już poznał, sami zresztą przybliżali się, niby przypadkiem, ich także paliła ciekawość, jaki to będzie ten „nowy”. Rozmowy były ostrożne, zdawało się Pawłowi, że dziwnie wiele w nich niedomówień. Przypomniawszy sobie wtedy życzliwie wypowiedzianą radę zastępcy dyrektora zespołu, starego wyjadacza, który lasy koszańskie znał jeszcze z czterdziestego piątego roku, przybył bowiem do Szczecinka wraz z pierwszą pionierską ekipą. Inżynier, z wysokości niemal dwumetrowego wzrostu, swoim zwyczajem pogroził mu palcem, mówiąc:

– Pamiętajcie, Kondracki, żeby ludzi, z którymi będziecie tam żyli, nie dzielić od razu na złych i dobrych. Czasem trzeba całych lat, żeby wiedzieć, co w kim przeważa. A nasi leśni ludzie, to jeszcze mruki w dodatku.

Pod płytą, jakby na złość, dymiło dziś, wiatr kręcił nad kominem, Paweł zaś i głodny był i ciągnęło go znów do lasu. Jakoś nie potrafił się jeszcze zadomowić w rozległych izbach swej leśniczówki, nie wynajdywał też w obejściu pilnej roboty. Raziła go pustka pokoi, martwota w gospodarczych budynkach. Od brata list nie nadchodził. Wczoraj, nie dowierając zapewnieniom, że listonosz wie o nim i gdyby coś, przybędzie na pewno, sam pojechał do Wojciechowa, gdzie znajdował się oddział poczty. Nic jednak dla niego nie było. Tyle że skorzystał z okazji i pchnął dodatkową kartkę, niechże się ten Antoś wreszcie odezwie, będzie w końcu wiadomo, co robić!

Żałował, że nie uciekł się do najprostszego sposobu i nie pojechał do swojego brata. Cóż z tego, że źle żył z bratową, nie znosili się od pierwszego spotkania. Jakoś przez dzień czy dwa wytrzymałby przy niej bez sporów... Bo właściwie przez to czekanie zmarnował czas przeznaczony na zagospodarowanie. Las poznał już z grubsza w swoim rejonie, ale własne sprawy zaniedbał jak najfatalniej. Niewiele się w leśniczówce zmieniło od tego wieczora, gdy przywiozł go tutaj wysłużony wóz dyrekcyjny. Tyle że się Maciulak wystarał o parę dodatkowych krzeseł, wyprawił cokolwiek postrzępioną kozetkę i zawiesił w pokoju, szumnie nazwanym gabinetem, pocerowaną firanczynę na oknie. Znacznie gorzej wyglądało w spiżarni przy kuchni: pełne puchy. Całe szczęście, były w piwnicy kartofle, o ich zakup też się zresztą wystarał gajowy z ponurą twarzą.

Paweł rozumiał bezsens swojego postępowania, należało się trochę zakrzętać przy urzędzeniu własnego życia, nie będzie przecież stale żył chlebem i ziemniakami, nic by z niego nie zostało po paru miesiącach. Pamiętając jednakże o skromnych swych możliwościach, wołał zaczekać na odpowiedź Antosia. Mówiło się kiedyś o tym, że coś się mu będzie należeć po matce. Niewiele miała tego dobytku, jakoś się nie wiodło ich rodzinie w początkach repatrianckiego życia. Gdy zaś ojciec zmarł, trudno już było w ogóle związać koniec z końcem, choć matka dawała z siebie co mogła. Brat przerwał wcześniej naukę, musiał ktoś pomagać rodzinie, trochę się poprawiło, wtedy się ożenił. Odtąd właściwie rozbiły się wspólne ich losy...

Smętne rozmyślenia Pawła przerwała nowa fala dymu, kłębamися wdzierając się przez nieszczelne drzwiczki do kuchni. Zupełnie zabrakło ciągu w kominie. Gotów był już myśleć, może jakaś para kawek upodobała sobie komin na gniazdo, kręciło się sporo tego tałałajstwa przy obejściu, dziwił się nawet, że wrzaskliwe ptaki zapuściły się tak daleko od większych ludzkich osiedli.

Pociemniało zarazem, nie tylko od dymu. Gdy wyrzwał za okno, ujrzał mrok zwisły nad ziemią, zbałwanione, ciemne chmury, miejscami z szarżyny przechodzące poprzez granat aż w intensywny fiolet. Wiatr, porywisty kiedyś u góry, na dole ustał zupełnie, gałązka żadna nie

drgnęła. Zarazem przetoczył się gdzieś bokami grzmot. W końcu marca? Śniegi jeszcze tkwią po wykrotach i rozpadlinach...

Nie dowierzając sobie, wyszedł na ganek. Głucha, napięta wyczekiwaniem cisza. Najlżejszego powiewu. I tylko granatowa chmura prze od północy, zagarnia niebo, opada na lasy, łączy się ze szczytami drzew, wsiąkają w nią, również z nagłą ściemniałe, nieomal czarne. Teraz słyszy Paweł odległy, przytłumiony, wyraźny przecież grzmot. Przetacza się wolno, jakby przez żelazną rynnę przesypywał ktoś śrutowiny.

Mrok gęstnieje, choć dopiero minęło południe, do wieczora szmat czasu. Ciszę przerywa niewyczuwalny jeszcze, ale docierający już poszum zrywającego się wiatru. Nadciąga gdzieś z daleka, zza zwałiska chmur, ogarniających świat, mieszających się z mgiełnymi pasmami, narasta dygotem i trzaskiem. Aż wreszcie dochodzi pierwszy podmuch leciutki jak muśnięcie. I zaraz nowymi falami idą następne, narastają, kołyszą gałęziami drzew, przychwytyują dym płynący znad komina. Szum mocny, głośny, wzbierający. Jeszcze nagły nawrót króciutkiej ciszy. I potem dopiero nie podmuch, ale szarpnięcie, gwałtowne pchnięcie masy powietrza, nadbiegające raz po raz, przechodzące w ciągły, nieustający huragan.

Wicher rzucił Pawłem o balustradę ganeczku. Z trudem utrzymał się na nogach. Pchnął drzwi, długo potem mocował się, nim wreszcie je zamknął. Zapalił w kuchni światło, migotało króciutko, zaraz przygasło, elektrownia musiała wyłączyć prąd. Od płyty swąd przypalonych ziemniaków. Skoczył ratować. Rzucił na patelnię pocięte uprzednio plastry słoniny, mieszał je nożem, coraz to rzucając przy tym spojrzenie za okno. Mrok, ciemno, jakby jakaś czarna zasłana zsuwała się na świat. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak ciepły był wiatr, owiewający go na ganku. A nawałnica szła z północy, ani pojąć tych niebieskich porządków.

Podlane rozskwarzoną słoniną ziemniaki dymiły na stole. Paweł jadł ani nie zdając sobie sprawy z ich smaku. Na ślepo niósł łyżkę do ust, patrzył na to, co się działo za oknem. Zwaliste, fioletowe i czarne chmurzyska zdawało się opadły zupełnie na ziemię, już nie widać było za nimi szczytów świerkowych, rozrosła brzoza na podwórzu gięła się, sprężynowała, broniła się przed wichurą jak mogła. Dudniło, tak silny był wicher, podwórkiem toczyły się drobiny żwiru i większe kamyczki. Na dachu trzask, rumor, pewnie się posypały dachówki. Potem runęły deski prowizorycznie zamykające okienny otwór, z którego ktoś wyszabrował futrynę i ramy. Paweł nawet się nie zerwał na ratunek. Nie sprostą tej sile. Rozhuczało się teraz, rozgwiszczało po domu, trzaskały drzwi szarpane nagłymi podmuchami, pękła gdzieś szyba.

Ciemno, w kuchni nic już nie widać. Na podwórzu odległość widzenia ograniczona może do pół rzutu kamieniem. I naraz spada kilka pierwszych, nabrzmiałych kropli, długie dudnienie grzmotu przetacza się niebem, silny błysk, ostry, gwałtowny trzask. Uderzył gdzieś piorun. Już nie krople, sznury deszczowe, już i tych nie ma, jedna nieprzenikniona, perłowoszara warstwa opadającej wody. Nic poza nią, mrok i pustka, jakby świat się zapadł i został w nim jedynie dom Pawła okolony tą ulewą, teraz spływającą nie z ukosa, ale prostym, równiutkim murem.

Paweł stoi w oknie, patrzy zdumiony i przejęty. Marzec, burza z piorunami, ulewa, jakiej nie pamiętał, oberwanie chmury, prawdziwy potop, tak najpewniej ten biblijny musiał wyglądać, gdy wszystko się zatracalo w ulewie, w ciągnących ku ziemi potokach.

Jakże gwałtowny napór opóźnionej w tym roku wiosny!

Nie wie, jak długo tkwi tak przy oknie, minuty czy całe może godziny. Zaczyna się leciutko przejaśniać, oto widać już pień brzozy, oparła się wichurze, czyściutka, wymyta, splukana do cna, wdzieczy się białymi plamami pnia, gdzieś za nią zarysy szopy na drzewo, jeszcze dalej majaczy coś, jakby ściana rozrosła świerkowego lasu. Już nie lawiną wali się woda, już widać smugi, nabrzmiałe, grube postronki, osuwające się z nieba na ziemię. Już i

one rzędną, wzrok pomyka coraz dalej i dalej, wyłaniają się skrawki nieba, czyściutkie, jasnoniebieskie, jakby i je oczyścił ten deszcz. I znowu, jak na początku nawałnicy, strugi przechodzą w perlące się, połyskujące krople, jeszcze gęste, potem tylko już pojedyncze, jasne, coraz jaśniejsze, aż wreszcie rozsrebrzone, wesołe w świetle nagle zabłyśniętego słońca. Ucicha, już po deszczu, po burzy, po huraganie i nawałnicy.

Paweł nie odchodzi od okna, oddycha ciężko, i teraz dopiero widzi, co dzieje się na podwórzu. Nie ma ścieżyn, nie ma ubitego klepiska, wokoło woda, staw, określany w granicach przez fundamenty budynków. Od spodu, z piwnic, wzbiera szum, jakby tam woda ściekała. Z przeciwległego krańca podwórza, gdzie ostrym, parometrowym skosem opada skarpa, na której znajduje się przydomowy skrawek ornego pola, płyną dalsze strumienie wody, wyrrywając korzenie traw i przerabując głębokie kanały. Jest jasno, woda zamulona piachem połyskuje, mieni się, wiruje pchana przeciwnymi prądami. Paweł wściekły jest na tych, którzy remontowali leśniczówkę, że zostawili na podwórzu aż taki wądoł, gniewa go, że sam w porę nie zabrał się do podwyższenia poziomu, wiosna przecież nie nadchodzi niespodziewanie. Mógł gdzieś konia pożyczyć... Chce się już oderwać od szyby, wyjść na dwór, obejrzeć wszystko dokładnie, ma przecież gumowe buty, gdy nagle nieruchomieje. U przeciwległego krańca podwórza stoi łania z cielęciem. Nie wiedzieć kiedy się zjawiły, patrzą ku leśniczówce jakby zdziwione, wilgotne ich sukienki ściemniały, świece połyskują.

Paweł boi się drgnąć, wstrzymuje oddech, czuje tylko, jak ręce drżą mu nerwowo, ogarnięty jest zachwytem. Łania rusza powoli, delikatnie, ostrożnie stawia badyle, strzyże łyżkami, zatrzymuje się przed rozlanym na podwórzu stawem, znów patrzy ku oknom. Cielę drobi za nią, także przystaje.

Trwa to może sekundy, może minuty. Pawłowi przypomina się zasłyszana w Technikum opowieść o gajówce, którą stale nawiedzała płowa zwierzyna. Rodzi się w nim marzenie, aby ta leśniczówka stała się podobną ostoją. Aby żadna zwierzyna nie bała się do niej zbliżać, aby częściej mógł widywać z okien podobne obrazy. Czuje, jak w tej dopiero chwili rodzi się w nim z nagłą przywiązanie serdeczne do miejsca, na którym osiadł. Teraz rozumie, czego mu brakło przez minione dni, właśnie takiego motywu, który by zatargał sercem, pozostał potem na zawsze, jako silne, wiążące wspomnienie.

Łyżki łani podnoszą się, strzygą przez krótką chwilę, a potem zwierzę podrywa się jednym susem, mignięcie tylko, drgnienie kwiatu i na podwórzu nie ma matki z cielęciem, jest tylko połyskująca, wciąż niespokojna woda.

Wtedy zza rogu obory wyłania się wysoka i chuda, mokruteńka od stóp do głów postać gajowego. Maciulak obu dłońmi przykrywa coś za pazuchą, brodzi po kolana przez rozlewisko podwórza, smyka oczyma po leśniczówce. Paweł odrywa się od okna, biegnie ku drzwiom, rozwiera je szeroko. Świeże, wilgotne i rześkie powietrze, ciepłe, bardzo ciepłe, odurza go. Ponura twarz Maciulaka rozjaśnia się na jego widok. Gajowy brnie szybciej przez wodę, już jest na ganku, otrząsa się jak przemoczony kundel.

– Potop prawdziwy – mruczy.

A potem delikatnie, starannie odchyła poły swego munduru, rozpina przytrzymujący je guzik. Zza pazuchy wyziera ciekawa, wesoła mordka szczeniaka. Ogłupiały trochę, wodzi po ludziach zdziwionym wzrokiem. Postawiony na ganku wykładanym ceglami, ostrożnie podnosi grube, kosmate łapy, otrząsa je, mokro przecież i zimno, potem z nagłą poszczekuje śmiesznie, niby basem a cienko zarazem. Paweł wybucha śmiechem, schyla się do psiaka, podsuwa rękę pod ciemną mordkę. Mały różowy jęzorek liże mu palce.

– Mówiłem, że bez psa tutaj się nie uradzi – stwierdza zadowolony z siebie i świata gajowy.

Paweł teraz dopiero spostrzega, że Maciulak jest przemoczony, musiał zziębnąć do cna. Ten macha dłońią, nie szkodzi, znajdują się jakieś łachy, przebierze się. Pora też do roboty, woda niemało szkody tu przyczyniła. Zaraz za pierwszym skrzętem przez las ku szosie jest

piasek, żwir właściwie. Trzeba będzie zwieźć przy okazji kilkanaście wozów, ubić potem, uklepać, bo to i zwykle deszcze zatopią budynek, coś dopiero taka ulewa.

Paweł potakuje, czuje w sobie chęć do roboty, ogarnia spojrzeniem swą leśniczówkę tak, jak ogarnia się wzrokiem własny dom.

– Wiosna już na całego. Dopiero się zacznie robota – mówi Maciulak, a gdy dłonią zatacza krąg wokoło, jakby ukazując odmieniony świat, świeży i naprawdę wiosenny, chmurna jego twarz staje się miłą, oczy zaś nabierają słonecznych blasków.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI